Marcin Kula

Naród, historia i... dużo kłopotów



universitas

Naród, historia i... dużo kłopotów

Marcin Kula

Naród, historia i... dużo kłopotów

Kraków

Publikacja dofinansowana
przez Akademię Leona Koźmińskiego



© Copyright by Marcin Kula and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011

ISBN 978-83-242-1493-8
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Spis treści

WSTĘP 7

ZAMIAST ILUSTRACJI 11

Naród

ZOSTAŃ MOIM BRATEM, A JAK NIE, TO CIĘ ZABIJĘ...?
Refleksje nad ewolucją dystansu między ludźmi w dziejach . . . 19

CZYM JEST NARÓD? 59

OBYWATEL KRAJU I ŚWIATA 64

MY, NARÓD BRAZYLIJSKI... 82

NIC NIE JEST Z GÓRY DANE.
NARÓD POLSKI TEŻ NIE BYŁ 93

DLACZEGO POLSKA SIĘ NIE ROZSYPAŁA?
BO HISTORIA NIE TAK CHCIAŁA 106

DŁUGA DROGA POLSKI DO EUROPY 114

SWÓJ DO SWEGO... PO CO? 130

NIEZNOŚNY CIĘŻAR KOMPLEKSÓW
Uwagi o wychowaniu patriotycznym – z przeszłością w tle 143

POROZMAWIAJMY JAK NIEWIERZĄCY Z WIERZĄCYM . . . 152

Historia narodowa i ponadnarodowa

HISTORIA JAKO GORĄCY KARTOFEL 167

INSTRUMENTALIZACJA HISTORII W POLSCE 195

MÓWIĄC O WCZORAJ, MYŚLIMY O DZIŚ
Historia we współczesnym dyskursie politycznym w Polsce . . . 207

HISTORIA WYSZŁA NA ULICE 223

NASZE AUDYTORIUM
Komentarz spisany przez historyka na marginesie badań nad pamięcią wojny 240

BĘBENEK HISTORII PLEMIENNEJ 250

CO ZBUDOWAĆ, CO ZBURZYĆ?
O świadectwach pamięci w Polsce w 2007 r. 256

DEKOMUNIZACJA SYMBOLIKI ULIC WARSZAWSKICH . . . 274

HISTORIA WŁASNEGO PODWÓRKA 286

PAMIĘĆ O JANIE PAWLE II JAKO FRAGMENT TRADYCJI LOKALNEJ 300

GROSS JAK GROSS, ALE CZĘŚĆ JEGO KRYTYKÓW... 307

AMNEZJA – CHOROBA TYLKO CZĘŚCIOWO ZAWINIONA 319

REPORTAŻ O PAMIĘCI 327

KULTYWOWANIE HISTORII W SPOŁECZEŃSTWACH WIELOETNICZNYCH 338

POROZMAWIAJMY O „MARCU" W NIECO SZERSZEJ PERSPEKTYWIE 344

CO CHCIAŁBYM ROZWAŻYĆ W WYKŁADZIE O HOLOKAUŚCIE? 356

HISTORIA NARODOWA W PONADNARODOWEJ PERSPEKTYWIE 369

NO TO SIĘGNIJMY DO ŹRÓDEŁ... A POTEM SPÓJRZMY NA WSPÓŁCZESNOŚĆ 379

Post scriptum

DŹWIĘK DZWONÓW NIESIE SIĘ NIE CAŁKIEM CZYSTO
Komentarz historyka do tragedii 391

Noty bibliograficzne 403

WSTĘP

Byłem wychowany w czasach, gdy problematyka narodowa zdawała się blednąć. W komunizmie, przynajmniej nominalnie, kładziono nacisk na historię rozumianą jako walka klas. Faktycznie, jak w wielu sprawach w tamtym ustroju, realia różniły się od tego, co głoszono. Komunizm permanentnie odwoływał się do idei narodowej – czy to dla selekcji ludzi do wywózek, czy dla legitymizacji władzy. Niekiedy stawał się wręcz szowinistyczny. Na winietach partyjnych gazet widniało jednak hasło zaczerpnięte z *Manifestu Komunistycznego*: Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! Potem zaś proletariusze obalili komunizm pod hasłami wyzwolenia narodowego. Prawda, że po trochu sam się zawalił. Prawda też, że przebieg przemiany paradoksalnie, przynajmniej w Polsce, wypełniał przesłanki modelu marksowskiego (wielkoprzemysłowa klasa robotnicza zbuntowała się przeciwko jeśli nie właścicielom, to przynajmniej dysponentom środków produkcji). Pozostaje jednak faktem, że czynnik narodowy i społeczny były w tym buncie ściśle splecione, dyskurs narodowy był przemożny, a z perspektywy przemiany skonsumowanej większość z nas definiuje ją jako wyzwolenie Polski.

Swego czasu Rosję carską nazywano „więzieniem narodów". Upadek ZSRR najczęściej też postrzegany jest jako upadek siły niewolącej narody – a ZSRR popruł się po szwach narodowych. Nawet narodowe elity komunistyczne same ostatecznie pomogły go popruć. Jego upadek w samej Rosji też wyzwolił bądź podtrzymał myślenie w kategoriach narodowych, chociażby w braku innych ideologii.

Również na Zachodzie swego czasu pojawiało się domniemanie, że zjawisko narodowe zaniknie, a przynajmniej zmniejszy swoją wagę wraz z modernizacją. Narody rysowały się trochę jako resztki plemion, które przecież stopniowo zanikły; narody, postrzegane jako ich resztki, też miały na to szanse. Tak się przynajmniej czasem zdawało. Ujednolicanie się cywilizacji materialnej oraz powstawanie ponadnarodowych całości politycznych sugerowało myślenie w tym samym kierunku. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło i mała szansa, żeby nastąpiło.

Przez minione lata często myślałem o problematyce narodów. Sprzyjało temu przeżycie przemiany w naszym rejonie świata. Także moje wieloletnie zainteresowanie Trzecim Światem, gdzie dekolonizacja i emancypacja narodowa były, a nieraz wciąż są, zagadnieniami fundamentalnymi. Ku tej problematyce prowadziła mnie również praca nad historią migracji, kwestiami Polonii, kwestiami diaspory żydowskiej. Sprzyjała w końcu także – nie ukrywajmy – pewna obawa. Zbyt wiele wiedziałem z historii i z bieżącej obserwacji o tym, jakie nieszczęścia mogą przynieść nacjonalizmy, by nie odczuwać obawy. Każdy kij ma – jak wiadomo – dwa końce. Zjawisko narodowe też. Propaganda lansująca ideę narodową w najgorszym stylu, jaką dane mi było obserwować bezpośrednio, wiązała się z dintojrą marca 1968 r. To, że lansowano ją w ramach ideologii nominalnie internacjonalistycznej oraz ustroju, w którym miało nie być „Greczyna ani Żyda", dodawało sprawie smętnej pikanterii. Zbyteczne dodawać, że inne pokolenia oraz ludzie żyjący w innych miejscach na ziemi nieraz doświadczali nieporównanie gorszych wyrazów idei narodowej.

Prawda, że w swojej dwoistości zjawisko narodowe nie jest specjalnie oryginalne. Chyba większość zjawisk społecznych można z jednej strony podziwiać, a z drugiej można się bać jakichś ich potencjalnych, groźnych aspektów.

Niektóre rezultaty moich przemyśleń znalazły się w niniejszym tomie. Zawiera on artykuły, publikowane w niedawnych latach, o zjawisku narodowym oraz o podejściu do historii w jego kontekście. Jest to oczywiście wybór tekstów, wynikający z konieczności zachowania rozsądnej objętości. Z tego samego powodu nie weszły tu moje artykuły, które, choć pasowałyby tematycz-

nie, znalazły się już w innych wyborach[1]. Przedrukowywanych tekstów nie zmieniałem – poza wprowadzeniem kilku drobnych poprawek w wypadku oczywistych pomyłek, poza przywróceniem wersji pierwotnej w wypadku zniekształcenia jej przez niektóre nadgorliwe redaktorki i redaktorów oraz poza skróceniem paru wątków dla uniknięcia dosłownych powtórzeń. Podobnie nie aktualizowałem tekstów. Dodawanie dziś informacji o narosłej literaturze bądź uwzględnianie nowych przemyśleń byłoby sztuczne, a niekiedy nawet mylące. Gdy w kilku wypadkach dodałem jednak przypisy, zaznaczyłem datę ich dopisania.

Warszawa, 28 marca 2010 r. M.K.

[1] Marcin Kula, Historia inaczej, *Biuletyn Stowarzyszenia Nauczycieli Historii*, 1998, nr 1; tenże, *Historia moja miłość (z zastrzeżeniami)*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2005; tenże, *O co chodzi w historii?*, Wydawnictwa UW, Warszawa 2008.

ZAMIAST ILUSTRACJI

I.J., w liście z 11 IV 1946:

Specjalnie teraz, przed świętami, odczuwam swoją bezdomność i samotność. I swoją paskudną dwuznaczność. Nie jestem Żydówką, nie jestem chrześcijanką, nie jestem Jabłońską, nie jestem Brzozowską. Przecież przez pół wieku byłam przywiązana do pięknej tradycji Wielkanocnej. Teraz depczę swoją godność. Udaję. Wzięłam macę dla swojego dziecka u krawcowej z taką miną, jakbym nigdy jej nie jadała. Dużo przykładów jeszcze mam.

I.J. do męża, lekarza wojskowego, w liście z 16 IX 1946, w odpowiedzi na wiadomość, że mąż zostanie przeniesiony z Koszalina do Krakowa:

Kraków zdaje mi się jeszcze dalej od Łodzi niż Koszalin. Poza tym zawsze się będę martwić o Ciebie. Bo Kraków to siedziba najczarniejszej reakcji. Miało to być bliżej Łodzi, bliżej nas.

J.J. do żony, 25 IX 1946, w odpowiedzi na jej niepokój:

A teraz o Krakowie. Antysemityzm, jak Ci wiadomo, jest wszędzie, przyzwyczaiłem się do niego i zżyłem się z nim. W Krakowie pod tym względem nie jest lepiej ani gorzej. Czekają mnie inspekcyjne wyjazdy, tak znowuż niebezpieczne nie są. Dowiedziałem się, że trzeba odbywać podróże pociągami, i to w dzień, jazdy będą dotyczyć większych miast (Przemyśl, Tarnów, Sanok, Sącz), a w nich panuje spokój i bezpieczeństwo. Na wszelki wypadek postaram się o cywilny strój i legitymację lekarza PCK, czy też Izby Lekarskiej lub Związku Lekarzy.

N.K. w liście z 9 XII 48, pisząc o znajomych:

Srulki b. mnie rażą, więc posługuję się ich nowym imieniem.

B.W., w liście z 26 X 1953:

U mnie nic nowego. Pracuję i nadal jestem zadowolona. Pracy mam bardzo dużo, ale ja tak lubię. Myślę tylko ciągle, że przed wojną nawet marzyć nie mogłabym o posadzie w Kuratorium (Wydział Oświaty – to jest dawne Kuratorium). Tak, wiele się zmieniło na lepsze. Szkoda tylko, że nie wszyscy dożyli tego. Wiesz, gdy słyszę, jak niektórzy żałują dawnych „dobrych" czasów, to mnie formalnie złość dusi.

I.M., w liście z 13 lub 15 XII 1957:

Nie wiem, czy będę zadowolona ze swojej decyzji, mimo wszystko jednak bardzo chcę jechać. Już wyzbyłam się pesymizmu, jestem w tej chwili – po słowach otuchy – pełna wiary i nadziei, że już niedługo wyjadę. Ciągle teraz myślę tylko o tym. Najbardziej boję się trudności językowych, chętnie uczyłabym się hebrajskiego, tylko że nikt tu nie wie, kim jestem i mogłabym narazić się na nieprzyjemności, których jednak chciałabym uniknąć. Właśnie najbardziej przykre jest to, że muszę kłamać, że w momentach, gdy mówią coś o Żydach, nie mogę wypowiedzieć, co myślę, co czuję i jak bolą mnie te słowa. Ale stale pocieszam się, że to już niedługo.

A.E. w liście z Tel Awiwu, 15 VII 1958:

Zacznę z pytania. Dlaczego chce ta dziewczyna jechać do Izraela? Czy tylko dlatego, że ją ktoś namawia? Mówisz, że ona środowiska żydowskiego nie ma, z żydostwem nic wspólnego nie ma – więc po co? Chyba że atmosfera jest taka, że Żyd, nawet zupełnie zasymilowany, nie może w Polsce żyć. Jeśli tak, to wszystkie inne pytania żadnego znaczenia nie mają. A jeżeli to tak nie jest, to cała rzecz wydaje mi się zbyteczną. Tu będzie dla niej przez pewien czas kraj obcy. Nieznajomość języka to drobnostka. W tym wieku ludzie się języków uczą bardzo szybko. Tu nawet są specjalne zakłady do szybkiego nauczania hebrajskiego.

Co się tyczy pracy, to w tym zawodzie nie jest to trudne. Jest nawet brak dobrze przygotowanych pielęgniarek. Dostać się na medycynę tutaj nie jest łatwo. To jest związane z egzaminem konkursowym. Uczyć się medycyny i jednocześnie pracować zarobkowo to wszędzie rzecz niełatwa. W Polsce jest to chyba prostsze niż tutaj.

Maturę w każdym razie powinna zrobić w Polsce. Tutaj będzie to trudne przez hebrajski, angielski itd.

Ale co najważniejsze: niech się dobrze zastanowi, czy chce rzeczywiście do Izraela emigrować. Dokładniej: **czy musi?** [...]

Możliwe, że moje odpowiedzi was zadziwią. Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Nie jestem tego gatunku syjonistą, który *à tout prix*

i w każdym wypadku gotów jest wymagać od każdego Żyda, żeby do Izraela jechał. Jestem raczej herclistą. Herzl uważał, że „Palästina ist für dienigen Juden notig, die sich nicht assimilieren **können** oder **wollen**"[1]. Widzi się tu czasem imigrantów, którzy w Polsce pozostać nie mogli – są to przeważnie ludzie starsi – a tu się czują na obczyźnie. Jak się taki człowiek czuje, nie jest mi to zupełnie – wewnętrznie – jasne. Ja już dawno imigrantem nie jestem. A z drugiej strony, sytuacja Żyda w Polsce z górą trzydzieści lat temu – gdy ja wyjechałem – mimo antysemityzmu itd. była inna niż teraz. Trudno mi się więc w tę sytuację wczuć – zwłaszcza że nigdy zasymilowanym nie byłem: całe życie spędziłem w środowisku żydowskim.

I.B. w liście z Rehovoth (Izrael), 17 VIII 1958:

Dziękuję Ci w moim i Z. imieniu za list i „dobre słowo". Jedno i drugie jest nam bardzo potrzebne. Pomimo rozliczne kontakty naukowe i inne biznesy to się wciąż czujemy tutaj jak na wizycie i jakoś wciąż nie możemy przyjąć do wiadomości, że to już koniec, że już tu zostać mamy na stałe. Rzecz w tym, że oboje już teraz (ja też) uważamy, że to był największy błąd w naszym życiu, żeśmy w ogóle z Polski wyjechali. W drodze do Izraela byliśmy tydzień w Wiedniu i tam nas przyjaciele namawiali do zostania tam. Mógłbym prawdopodobnie stosunkowo łatwo dostać tam pracę. Ponieważ ja nie lubię zmieniać raz powziętej decyzji, nie zostaliśmy tam, a pojechaliśmy tutaj. Nie wierzę, że będąc w Wiedniu, bylibyśmy szczęśliwsi (w każdym razie nie Z.). Ze mną jest pół bidy, bo moja praca jest raczej pracą z rzeczami, z martwą naturą, i w gruncie rzeczy w samej pracy mało się odczuwa różnic szerokości geograficznych, ale... nie samym chlebem żyje człowiek. Poza tym Z. jest, okazuje się, naprawdę w sposób organiczny związana z Polską; ona w żadnym innym kraju nie mogłaby i nie chciałaby żyć. To samo było przecież w Anglii, gdzie z punktu widzenia mojej „kariery" jako pracownika naukowego miałem jeszcze ogromne i niewyczerpalne możliwości (w żadnym innym takich nie miałem i prawdop[odobnie] nie będę miał), a jednak Z. nastawała, żebyśmy jak najszybciej wyjechali stamtąd do Polski. Jej jest ciężko poza Polską, i nie tylko Ludową. Pamiętam przed wojną, jakeśmy żyli w Wiedniu, to jej też bardzo to przeszkadzało – choć wiedziała dobrze, że jej w Polsce grozi wieloletni wyrok sądowy. Sprawa więc, jak widzisz, nie jest taka, że jej szczególnie przeszkadza pobyt tutaj. Jej przeszkadza „niebyt" w Polsce, a w tej sytuacji jest niezmiernie trudno

[1] Palestyna jest potrzebna dla tych Żydów, którzy nie mogą lub nie chcą się asymilować.

coś robić. Miałem niedawno ofertę wyjazdu do Australii, odrzuciłem, bo wiem, że się tam tak samo nędznie będzie czuła, choć widoki pracy (mojej) byłyby szersze tam.

Czy zostaje otwarty powrót do Polski? Obawiam się, że nie. Co innego Andersowcy różnego rodzaju, co 20 lat byli w Brazyliach, Angliach i Kanadach. Ich powrót chętnie się widzi, choć przyjęli inne obywatelstwo w międzyczasie. Inaczej jest z nami. Bylibyśmy „outcasts". Mówiono by, że B. zlękli się narodu, a jak znowu naród wzięto „za mordę", to wracają. Mówiono by jeszcze wiele innych różnych rzeczy. Przede wszystkim nie miano by do nas zaufania. Poza tym jest jeszcze aspekt prawny. Podobno ludziom, co wyjechali do Izraela (tylko do Izraela!), odebrali obywatelstwo. Mnie już raz odebrano obywatelstwo. To było bezpośrednio przed wojną, kiedy odebrano wszystkim uczestnikom walki w Hiszpanii obywatelstwo. Wygląda więc na to, że w przeciwieństwie do niektórych, „którzy pod każdym reżymem etc.", my tyż [!] „pod każdym reżymem", tylko na odwrót! Być może, że w tym jest jakaś prawidłowość.

W.K., z Natanii (Izrael), 11 VIII 1966:

Polski słyszy się często. Już parę razy słyszałem żale, że się z Polski wyjechało. Sabry – to dopiero nowy naród.

W.K., z Tel Awiwu, 19 VIII 1966:

Wrażenie z Jerozolimy duże. Tel Awiw jest brzydki, w sumie małomiasteczkowy. Jerozolima – mimo przecięcia granicą i niedostępności Starego Miasta[2], ma miejsca piękne i w ogóle robi wrażenie. Cała jest z pięknego, żółtawego kamienia. Zwiedziliśmy ją w błyskawicznym tempie dzięki pomocy T., I. (zięć S., bardzo nam się podobał) i innych. Widzieliśmy wiele rzeczy, których turyści zazwyczaj nie widzą. Byliśmy w dzielnicy ortodoksów. Wrażenie straszne: średniowiecze w pełni. Nie da się opisać. I to w mieście, w którym jednocześnie jest ultra-nowoczesny uniwersytet.

W.K., z Tel Awiwu, 31 VIII 1966:

Ogólne wrażenie: muszę chyba powiedzieć, że gorsze niż się spodziewałem. Dawny idealizm, duch pionierski, kibuce itd. (które mogły się podobać lub nie, ale zasługiwały na szacunek) pozostały tylko jako dekoracja dla państwa kapitalistycznego, gorszego niż Anglia, Francja czy Skandynawia, państwa b. brutalnej walki wszystkich ze wszystkimi.

---

[2] Przed Wojną Sześciodniową (1967) Jerozolima była rozdzielona pomiędzy Izrael i Jordanię.

Nawet pod względem turystycznym raczej rozczarowanie. Wrażenia z dziedziny przyrodniczej (pustynia, Morze Martwe etc.) silne – ale zabytki... drugorzędne. Rzymianie, Arabowie i Turcy przez 2000 lat dobrze pracowali i wszystko niszczyli. Pozostały wykopaliska, *respectables*, *certes*, ale zawierające mało elementów estetycznych.

M.K., ze Sztokholmu, 12 III 1976:

U nas życie jakoś biegnie, przeżywamy kolejny etap emigracji. Etapów tych było kilka: uzyskiwanie zezwoleń na pobyt, potem sprawy zatrudnienia i... zarobków, potem osiedlenia, teraz obywatelstwa i wreszcie – temat *en vogue* – odejścia na emeryturę. Jest w tych problemach skrócona i zniekształcona historia normalnego życia ludzkiego, ale ten przedostatni etap jest raczej smutny. Emerytury są bardzo niskie – gros wysługi lat pozostawiło się przecież gdzie indziej; łączność ze społeczeństwem słaba lub żadna, pozostaje więc poza chorobami niewiele. I u nas coraz częściej pojawiają się te tematy, dzwon bowiem już dzwoni. Toteż J. snuje coraz nowe plany wyjazdowe (ja trochę ochłodłem), gdyż, jak twierdzi, niewiele już pozostało czasu.

M.K., ze Sztokholmu, 18 VI 1978:

Podczas bez mała 10-letniego pobytu w Szwecji przekonaliśmy się oboje, że okres ten wystarczy do utraty dawnej „identity" (nie wiem czy ten wyraz istnieje i u Was i jak się tłumaczy), ale jest zbyt krótki do nabycia nowej – ściśle mówiąc do nabycia nowej nie wystarczy żaden okres. U wielu ludzi, z którymi się stykamy, wywołuje to uczucie frustracji, przejawiające się bądź w agresywności, bądź w zniechęceniu i apatii. Osobiście staram się kierować jakimś w miarę możności łagodnym rozsądkiem, natomiast mojej J. nie zawsze to chyba wychodzi. Są to specyficzne problemy emigracyjne, które z racji Waszych zainteresowań[3] nie powinny być Wam obce.

Powyższe fragmenty prywatnych listów ludzi o różnym zapleczu nieźle ilustrują sprawy, o których mowa w książce. Imiona i nazwiska zostały zastąpione inicjałami przez szacunek dla prywatnego charakteru dokumentów. Niektóre z tych fragmentów publikowałem już wcześniej[4].

---

[3] Nawiązanie do: *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890–1891,* opr. Witold Kula, Nina Assorodobraj-Kula, Marcin Kula, LSW, Warszawa 1973.

[4] Marcin Kula, Żydzi po wojnie o swoich losach, *Gazeta Wyborcza,* 16–17 II 2008.

Naród

ZOSTAŃ MOIM BRATEM, A JAK NIE, TO CIĘ ZABIJĘ...?

Refleksje nad ewolucją dystansu między ludźmi w dziejach

Wielkim, historycznym procesem, któremu podlegały kolejne pokolenia, był proces indywidualizacji ludzi. Dawniejsze epoki, a w gruncie rzeczy cała cywilizacja agrarna, cechowały się silnym kolektywizmem. Życie ludzi najczęściej przebiegało w małych społecznościach, gdzie z grubsza wszyscy się znali i wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Kościół i dom miejscowego potentata stanowiły centralne punkty takich społeczności. Prało się w nich we wspólnym dla wszystkich miejscu nad rzeką, mieszkało się najczęściej w parę osób w jednej izbie, za potrzebą chodziło się za stodołę. Wspólne izby i wyrka, nocniki używane przy nieuniknionej obecności innych, mycie się w prymitywnych warunkach, utrudniały nawet zachowanie tajemnicy naszego ciała, którą dziś najczęściej dzielimy się jedynie z wybraną (wybranym) – nawet jeśli, być może, jedynie czasowo wybraną (wybranym). Mimo wszystkich niuansów, jakie można by wprowadzić do tego ostatniego stwierdzenia, sytuację najpewniej właśnie typową, najczęstszą, przedstawia ciekawy obraz jednego z najwybitniejszych polskich malarzy współczesnych, Jerzego Nowosielskiego, zatytułowany *Tajemnica narzeczonych* (1962; dziewczyna odsłania się przed tym, którego wybrała).

W dawniejszych epokach nie dysponowano osobnymi talerzami i widelcami, które są narzędziami bardzo nas indywidualizującymi. Władza państwowa często nakładała podatki nie na kon-

kretnych ludzi, lecz na społeczności. Klientelizm był zjawiskiem normalnym. Nawet okresowe odpchliwanie siebie i innych robiono zbiorowo.

Przemysłowa i kapitalistyczna modernizacja były i są związane z indywidualizacją ludzi. Człowiek choruje często daleko od rodziny, w szpitalu. Umiera najczęściej wśród obcych, podczas gdy rodzina na ogół nawet boi się śmierci danej osoby w domu, wśród bliskich. Oczywiście, w wielu wypadkach oddaje się chorego do szpitala dla podjęcia prób ratowania go czy dla ulżenia mu w cierpieniach, ale nawet w sytuacjach beznadziejnych rzadko pozwala się dziś człowiekowi umrzeć w domu.

W krajach rozwiniętych i w grupach znośnie sytuowanych wspólną izbę zastąpiło wieloizbowe mieszkanie. Wspólne miejsce do spania zastąpiło łóżko – dziś indywidualne często nawet w wypadku małżonków. Rodzina wsiadła do samochodu, który izoluje ją od innych. Gdy podczas któregoś z kolejnych kryzysów na Bliskim Wschodzie w Paryżu zabrakło benzyny i w weekend paryżanie znów, jak kiedyś, wyszli pospacerować po ulicach, wszyscy sobie jakby przypomnieli, że żyją między ludźmi i nie kontaktują się z innymi jedynie dla załatwiania rozlicznych spraw. Obecnie może zepsucie się poczty elektronicznej, czego skądinąd trudno sobie życzyć, uświadomiłoby nam, że można kontaktować się bardziej zgodnie z naturą ludzką. Nowoczesne środki komunikacji masowej oraz łączności przecież tyleż łączą, ile faktycznie izolują ludzi między sobą. Będąc w kontakcie z całym światem, *de facto* pozostajemy sami przed telewizorem lub monitorem komputera.

W świecie rozwiniętym obejmowanie się mężczyzn w sytuacjach pozaerotycznych, częste w Ameryce Łacińskiej, wchodzi w grę tylko po, powiedzmy, uratowaniu kogoś z niebezpieczeństwa lub dla uczczenia zwycięzcy (np. po zawodach sportowych). Tymczasem kiedyś w Polsce szlachta obejmowała się i całowała na powitanie. W krajach rozwiniętych rzadko podaje się dziś nawet rękę drugiej osobie. Podanie ręki stało się gestem ceremonialnym, a w życiu codziennym zastąpił je gest powitalny.

Odkurzacz zastąpił w naszym życiu trzepak, gdzie okoliczni mieszkańcy spotykali się dla trzepania dywanów, rozmawiali, plotkowali. Pralka zastąpiła wspólne pranie w określonym miejscu

nad rzeką, w której wodzie najczęściej dziś zresztą niczego nie dałoby się wyprać. We wspólnej łaźni człowiek kąpie się jedynie w wyjątkowych okolicznościach. Nawet gdy, jeśli jest mężczyzną, stoi przed pisuarem, czyli pozostaje mało izolowany jak na czynność uznawaną w naszej kulturze za intymną, to jednak najczęściej jest osłonięty od innych zasłonką na potrzebnej wysokości. Tradycyjne, śmierdzące i silnie zarazem kolektywistyczne pisuary zniknęły z ulic paryskich. Nawet na relatywnie mało zmodernizowanej polskiej wsi za stodołę już chodzi się bardzo rzadko. W tym wypadku już „sławojka", masowo budowana w okresie międzywojennym za sprawą premiera Sławoja Składkowskiego[1], była ważnym instrumentem indywidualizacyjnym. Premier uważał ją zresztą za instrument modernizacyjny polskiej wsi (nawet jeśli najpewniej nie używał jeszcze wówczas terminu „modernizacja"). Z czasem był nawet dumny, że taki baraczek-toaleta został powszechnie nazwany od jego osoby.

Dziś w najbardziej zatłoczonym metrze jesteśmy osamotnieni. Nawet gdybyśmy, dajmy na to, zasłabli, to w dobrym wypadku ktoś z tego tłumu wezwałby pogotowie – marząc o tym, by zajęła się nami wyspecjalizowana służba, a on sam mógł pójść dalej własną drogą.

Eugéne Ionesco określił kiedyś współczesne wielkie miasta jako pustynię. Mówił do rozmówcy, niemieckiego dziennikarza:

„Tylko z rzadka odkrywamy coś nowego w pejzażu miast, które strasznie się do siebie upodabniają. Pański wspaniały kraj, Niemcy, miał takie piękne miasta, na szczęście niektóre z nich przetrwały, ale większość to już małe Nowe Jorki, kopie Nowego Jorku. Kiedy przespaceruje się pan po pustyni, coś pan tam odkryje. Pustynia to coś nowego. Gdy kiedyś byłem w Izraelu, tamtejszy minister gospodarki, który walczył z pustynią, zapytał mnie: «Co najbardziej podoba się panu w Izraelu?». Dosyć głupawo mu odpowiedziałem: «Pustynia». Chciałbym znaleźć pustynię. Moż-

[1] Gen. Felicjan Sławoj Składkowski, ur. 1885, zm. 1962, z zawodu lekarz, minister spraw wewnętrznych w 1929 i 1930 r., premier 1936–1939.

na ją znaleźć w wielkich miastach, ale jest to inna pustynia – samotności. *Le solitaire*"[2].

Badacze społeczni różnych specjalności potwierdzają tę opinię pisarza, intuicyjnie wrażliwego na sytuacje ludzkie.

Psycholog społeczny Serge Moscovici wyraził się kiedyś, że jednostka żyjąca we współczesnej cywilizacji zachodniej wyemancypowała się oraz wyzwoliła, ale jednocześnie stała się jednostką anonimową, wtopioną w masę ludzi[3]. Antropolog Louis Dumont zestawił współczesnego człowieka i średniowiecznego pustelnika; pierwszego, który uczestniczy w świecie współczesnym, oraz drugiego, który usiłował uwolnić się od świata – jednako wszakże samotnych[4]. Socjolog David Riesman scharakteryzował nowoczesne społeczeństwo jako „the lonely crowd". Na polski przetłumaczono ten tytuł dosłownie jako „Samotny tłum"[5]. Intencję autora chyba lepiej oddawałoby tłumaczenie „Tłum samotnych".

Oczywiście pojawiły się w naszym społeczeństwie mechanizmy mające zaradzić tej sytuacji – ale o nich niżej.

* * *

Powyższy obraz trzeba zniuansować chronologicznie, terytorialnie, narodowo i społecznie. Jak była mowa, społeczeństwo modernizujące się nie od razu przybrało dzisiejszą formę. Nawet w dzisiejszym mieście najczęściej istnieją środowiska ludzi bardziej i mniej zindywidualizowanych. Generalnie „kultura biedy", w klasyczny sposób opisana przez Lewisa, jest bardziej stadna niż zachodnie społeczeństwo klasy średniej[6]. Istnieją kraje, gdzie

---

[2] Cyt. za: Ulrich Wickert, *I Bóg stworzył Paryż*, tłum. Antoni Baniukiewicz, Uraeus, Gdynia 1996, s. 72–73 (tytuł oryginału: *Und Gott schuf Paris*).

[3] Cyt. za: Jacques Le Goff, Michel Lauvers, *La Civilisation Occidentale*, w: *Histoire des Moeurs*, III (Enciclopédie de la Pléiade), s. 1203.

[4] Ibidem.

[5] David Riesman oraz Nathan Glazer i Reuel Denney, *Samotny tłum*, przełożył i wstępem opatrzył Jan Strzelecki, PWN, Warszawa 1971 (tytuł oryginału: *Lonely Crowd*).

[6] Oskar Lewis, *Nagie życie*, PIW, Warszawa 1976; tenże, *Rodzina Martinezów. Życie meksykańskiego chłopa*, PIW, Warszawa 1964; tenże, *Sanchez i jego dzieci. Autobiografia rodziny meksykańskiej*, PIW, Warszawa 1964.

ludzie żyją życiem mało lub relatywnie mało zmodernizowanym. W kolektywistycznym nastawieniu rosyjskiego komunizmu można dostrzec „po prostu" odbicie nikłej modernizacji stosunków między ludźmi w Rosji. Te wszystkie pocałunki przywódców, te toalety, gdzie nie było prywatności do tego stopnia, że nieprzyzwyczajonemu trudno było z nich skorzystać, te spotkania nawzajem u siebie po domach, a najlepiej w kuchni... mogły być wspomożone przez komunizm, podtrzymywane przez jego generalnie małą ewolucyjność, także przez fizyczną niemożność znalezienia innych rozwiązań nawet w wypadku ludzi, którzy by ich chcieli – ale taki stan rzeczy miał też swój głębszy, cywilizacyjny podkład.

W to, że ludzie lubili „kołchozowe" mieszkania, oczywiście trudno uwierzyć – nawet jeśli pewno wielu z nich uznało je za rzecz naturalną, a we wzajemnym podglądaniu się znalazło przyjemność porównywalną z siedzeniem na przyzbie na wiejskiej ulicy. Dominację społeczności nad rodziną oraz jednostką ludzie radzieccy mogli już jednak traktować tak, jak tradycyjna wieś traktowała objęcie wszystkich przez gromadę uściskiem nie do odrzucenia. Może rozbite przez komunizm, ale mało zmodernizowane społeczeństwo ZSRR tym łatwiej akceptowało „braterskie" objęcie go „opieką" przez władzę. Może sowiecki plakat z 1940 r., zatytułowany „O każdego z nas troszczy się Stalin na Kremlu"[7] był czymś naturalnym dla wielu, a w każdym razie dla większej liczby ludzi, niż nam się to dziś zdaje? Może znaczna część sowieckiego społeczeństwa wcale nie aspirowała do indywidualizmu oraz samoorganizowania się jako wolnych jednostek?

Wspólne i pozbawione cienia prywatności łaźnie w moskiewskich blokach mieszkalnych mogły być czymś normalnym dla wielu ludzi. Gdy mój kolega z Polski, przebywający tam z wizytą u znajomych, po paru dniach uznał, że musi jednak umyć się, a w związku z tym zejść do wspólnotowej łaźni, osłonił się ręcz-

[7] Plakat pokazany na wystawie „Oblicza totalitaryzmu", zorganizowanej w Domu Spotkań z Historią w Warszawie na przełomie 2009 i 2010 r. DSH otrzymał go dzięki uprzejmości moskiewskiego „Memoriału".

nikiem. Wywołało to nieukrywane zdziwienie innych kąpiących się – jakby pytanie: „Co, on inny?". W krajach Europy Wschodniej studenci przed egzaminem, a często także niestety podczas egzaminu, na swój sposób jednoczą się w „niebezpieczeństwie": przygotowują ściągaczki, podpowiadają sobie nawzajem. Na Zachodzie raczej patrzą na współegzaminowanych jako na potencjalnych konkurentów.

W poszczególnych krajach istnieją też różne środowiska. Różnicę stopnia indywidualizacji ludzi dobrze widać w krajach o ludności rekrutującej się z wielu grup etnicznych. Andrzej Walicki zaobserwował na przykładzie Australii, jak to tamtejsi Włosi, Grecy i Słowianie są znacznie bardziej powiązani różnymi więzami między sobą (klientystycznymi, mafijnymi, rodzinnymi) niż Anglosasi. Ci pierwsi są znacznie bardziej wspólnotowi niż drudzy, ich więzi są bezpośrednie, całościowe i nieformalne, podczas gdy więzi Anglosasów można raczej charakteryzować jako uspołecznienie, nie zaś jako uwspólnotowienie[8].

W niektórych krajach i grupach tradycja, przekazywana przez mechanizm dziedziczenia kulturowego, modyfikuje mechanizm procesu modernizacyjnego. Trudno powiedzieć, że Finlandia jest dziś mało zmodernizowana, a przecież ludzie biegają tam do wspólnotowej sauny jak do tradycyjnej rosyjskiej „bani". Stopień modernizacji Japonii czy Korei Południowej jest dziś ogromny, a styl indywidualizacji ludzi jest tam bardzo różny od Europy Zachodniej. Widać to nawet w skądinąd nie najważniejszej sprawie formy kłaniania się ludzi. Szybko trzeba się tam nauczyć się kłaniać, nawet w sklepie, głębiej niż przez byle machnięcie ręką lub przez minimalne pochylenie głowy. W krajach języka angielskiego, często silnie zmodernizowanych, zwracanie się do siebie per „ty" (*you*) niewiele znaczy, podczas gdy w innych krajach jest najczęściej oznaką bliskości oraz instrumentem zbliżenia zarazem.

Pewne sytuacje społeczne mogą przeciwdziałać indywidualizacji ludzi. Dzieje się tak np. w wypadku mniejszości narodo-

---

[8] Cyt. za: Paweł Kozłowski, *Szukanie sensu, czyli o naszej wielkiej zmianie*, PWN, Warszawa 1995, s. 94.

wych lub wygnańców (czyli nieraz ludzi w pewnej mierze odrzuconych lub znajdujących się w jakimś wymiarze „pod kreską"). W okresie międzywojennym funkcjonowało w Polsce powiedzenie, że jak Żyd w Warszawie kichnął, to inny Żyd w Gdańsku odpowiadał mu „na zdrowie". Jak większość takich powiedzonek, tak i to wynikało z pewnego stereotypu. Jest oczywiście bzdurą, że wszyscy Żydzi zawsze się kochali nawzajem; można wskazać nawet takich, którzy się nawzajem wykańczali. Z sytuacji mniejszości narodowej, przez innych często deprecjonowanej, nieraz wynikała jednak pewna jej „stadność". Podobnie migranci często i długo utrzymują uprzywilejowane stosunki między sobą. Może tak trzeba w Polsce tłumaczyć zwartość społeczności Wrocławia – po wojnie, jak wiadomo, zasiedlonego przez migrantów. Ich zwartość zdaje się relatywnie większa niż w innych polskich miastach. Jeśli można powołać osobiste doświadczenie, to wspomnę w tym kontekście, jak to kiedyś zapytałem kogoś z rodziny, przesiedleńca ze Lwowa, czy zna jakiś przyzwoity warsztat samochodowy. Zapytany wskazał mi taki warsztat bez chwili wahania – z komentarzem: „Wiesz, on u nas, we Lwowie, miał warsztat na ulicy..." (tu padła nazwa ulicy, która mnie oczywiście nic nie mówiła).

Grupy młodzieżowe nieraz też są bardzo „stadne". Nie przyrównując, grupy przestępcze bywają silnie kolektywistyczne.

* * *

W pewnych sytuacjach chcemy choć trochę wyizolować się od innych, ale bywa to czasem nieosiągalne. Są to sytuacje więzienne, obozowe, rekruckie w wojsku. W pewnych sytuacjach odczuwamy wielką bliskość, wręcz braterstwo z innymi, ale nie jest to rodzaj braterstwa, który czy to na spokojnie, czy patrząc z zewnątrz, pochwalilibyśmy. Często w tłumie, niestety zwłaszcza w tłumie ludzi nienawidzących, przezwycięża się poczucie izolacji. To jest jeden z psychologicznych mechanizmów pogromów czy np. brutalnego zachowania kibiców na stadionach. Prawda, że może się zdarzyć wspólnota zbliżająca ludzi, organizująca się przeciw komuś czy przeciw czemuś także w bardziej chwalebnych celach. Taki charakter miały parokrotnie odbyte we współczesnej Polsce „czarne marsze" przeciw chuliganom, którzy za-

mordowali niczemu nie winnych, przypadkowych młodych ludzi. W życiu codziennym możemy się zupełnie banalnie jednoczyć np. przeciw uciążliwemu sąsiadowi czy dla ratowania się w wypadku awarii hydraulicznej w bloku mieszkalnym. Czasem klęski żywiołowe też tak działają – choć one najczęściej działają różnie: powodują zbliżenie ludzi, ale nieraz oddziaływają też przeciwnie (jak wojny).

Niekiedy uważa się, że życie w trudnych warunkach naturalnych zbliża (a przynajmniej kiedyś zbliżało) ludzi. W tym kontekście wskazuje się życie wśród północnej przyrody w Norwegii, w Kanadzie czy w warunkach takich, jak kiedyś na Dzikim Zachodzie. Bardzo ciekawym socjologicznie (choć smutnym!) zjawiskiem są klęski głodu. Bywa, że jednoczy nawet jeszcze nie sam głód, ale jego perspektywa. W historii znane są bunty głodowe. Znane są demonstracje głodowe – jak choćby marsze kobiet w Polsce, w Łodzi w 1981 r. Ich uczestniczki, pracujące na różne zmiany w zakładach włókienniczych, w drodze do domu nie mogły już zrobić żadnych zakupów w najczęściej pustych wówczas sklepach. Prawdą jest jednak także, że wielokrotnie w historii głód potężnie dezintegrował.

* * *

Pewne sytuacje życia codziennego zbliżają ludzi. Np. wspólne jedzenie na ogół zbliża współbiesiadników. W różnych krajach powstały nawet całe ceremonie związane z jedzeniem, które w gruncie rzeczy służą łączeniu ludzi. Jedzenie jako instrument integracji funkcjonuje jednak różnie. Przy ograniczonej jego ilości posiłek wcale niekoniecznie zbliża. Szybkie jedzenie w stołówce czy w barze szybkiej obsługi, gdzie wbiega się jedynie dla przekąszenia czegoś, najczęściej nie ma nic wspólnego ze zbliżeniem.

Podarunki na ogół zbliżają ludzi – pod warunkiem wszakże, iż nie będą to podarunki demonstracyjne i uzależniające, jak np. Pałac Kultury w Warszawie, ofiarowany Polakom przez „narody Związku Radzieckiego".

Taniec – zarówno klasyczny, jak grupowy, może funkcjonować jako instrument zbliżenia. Pub angielski, karczma, knajpa, piwiarnia, gra w *boules* we Francji – podobnie. W społeczeństwie

współczesnym, w miarę indywidualizacji, pojawiają się coraz nowe instrumenty o analogicznym oddziaływaniu.

* * *

Niektóre instytucje w dziejach starały się spajać ludzi – co im się udawało lepiej lub gorzej w zależności od okresu historycznego i sytuacji. Takimi instytucjami bywały i bywają instytucje życia religijnego. Wiele ruchów religijnych (świeckich parareligijnych zresztą też) akcentowało braterstwo uczestników. Nie przypadkowo w zakonach mówi się o współzakonnikach „bracia". Kłopot tylko w tym, że instytucje religijne najczęściej starały się jednoczyć swoich wyznawców, podczas gdy innych nie uważały nawet za „braci odłączonych". Działania Kościoła katolickiego na rzecz zbliżenia do innych religii to rzecz relatywnie nowa, acz ciekawa. Z punktu widzenia działania na rzecz zbliżenia między ludźmi interesująca jest nowa, posoborowa liturgia Kościoła katolickiego oraz współczesna architektura kościelna – akcentująca jedność społeczności, a nie tylko jej związek z Bogiem. Symbolem tych zmian jest padające obecnie w czasie nabożeństwa wezwanie księdza, by ludzie przekazali sobie „znak pokoju"; oczekuje się, że wierni wymienią wtedy uścisk dłoni ze stojącymi blisko nich, choćby zupełnie obcymi. Sam ksiądz jest traktowany obecnie znacznie bardziej niż dawniej jako jeden z członków społeczności wiernych, czego symbolem jest jego zejście z ambony na poziom wszystkich obecnych i odprawianie mszy twarzą do nich. Jest to akcent jeszcze do niedawna występujący raczej w protestantyzmie niż w Kościele rzymskim.

Niektóre idee pojawiały się najpewniej jako remedium na rozsypywanie się powiązań ludzi funkcjonujących w ramach struktur feudalnych. Taką ideą był naród, tworzący – jak to określił Jerzy Jedlicki – wspólny dom dla wszystkich uczestników zbiorowości[9]. Wchodzili oni do tego „domu" nawet bez szczególnego wysiłku, niejako automatycznie, na skutek urodzenia. Prawda, że skoro miał to być dom dla jednych, to niezbyt mógł być do-

[9] Jerzy Jedlicki, O narodowości kultury, *Res Publica*, 1987, nr 2, s. 54.

mem dla innych. Ważne pytanie sprowadzało się zatem do kwestii, kto miał wstęp do tego „domu". Jego ekskluzywność, w niektórych sytuacjach bardzo duża, też umacniała poczucie bliskości wybranych. Ciekawe, że obecnie, chyba właśnie w reakcji na pogłębiającą się atomizację społeczeństwa, idea narodowa ponownie nasila się w krajach silnie zmodernizowanych.

Współcześnie wiele rozwiązań socjotechnicznych służy temu samemu celowi (*shopping malls*, ulice bez ruchu kołowego, wielkie imprezy plenerowe, parki atrakcji pomyślane jako miejsce spędzania wolnego czasu przez wielu ludzi wspólnie w weekendy...). Także sport stał się takim narzędziem łamania atomizacji jednostek. Wielkie widowiska sportowe należą obecnie do zjawisk najbardziej skupiających ludzi oraz zaliczają się do najważniejszych nośników idei narodowej (nawet jeśli drużyny wielu krajów przypominają teraz raczej dawne wojska zaciężne, z żołnierzami/graczami wynajętymi z innych narodów).

Sport daje poczucie wspólnoty, szczęśliwie mimo wszystko mniej dzieląc narody niż starcia wojenne. Jednocześnie nie da się ukryć, że sport może łączyć ludzi w stylu jedności, nazwijmy to tak, faszystowskiej. Kluby kibiców nieraz przypominają bojówki, zwracające się przeciw innym. Z braterstwem sportowców nawet własnych drużyn bywa różnie, a cóż dopiero z braterstwem graczy z różnych drużyn. W narodowej mobilizacji sportowej pojawia się moment przymusu. Jeśli nie jesteś entuzjastą – zdają się mówić entuzjaści – ustawiasz się poza wspólnotą.

Jeśli jeszcze raz mogę powołać osobiste doświadczenie, to wspomnę jak, będąc we Francji, obserwowałem Mundial w 2006 r. Muszę zaznaczyć, że dla mnie piłka nożna może nie istnieć. Tym bardziej odnosiłem wrażenie, że Francja wtedy zwariowała, od szczytów do dołów społecznych. 28 czerwca, gdy zwyciężyła Hiszpanię 3:1, nastąpiło szaleństwo na ulicach. Przez miasto jechały samochody i motocykle z francuskimi flagami, oczywiście naruszając wszelkie przepisy drogowe. Na centralnych ulicach gromadziły się tłumy, nieraz całkowicie blokujące ruch. Nawet pojedynczy ludzie wrzeszczeli. Skądinąd granica wyrażania entuzjazmu oraz prostego chuligaństwa była bardzo cienka. To wszystko działo się zaś dlatego, że o tysiąc kilometrów dalej paru facetów dobrze kopnęło piłkę!

Podobnie rzeczy przedstawiały się 1 czerwca, gdy Francja zwyciężyła Brazylię 1:0. Podobnie, a raczej jeszcze mocniej, miało wyglądać 9 lipca. Francuzi nastawili się na zwycięstwo z Włochami. Wywieszono flagi. Na Champs Elysées radosna atmosfera panowała już na wiele godzin wcześniej... a potem tłum przypominał balonik, z którego uszło powietrze.

Okazało się, że okrągły przedmiot zwany piłką jest jedyną rzeczą (ideą?), mogącą zjednoczyć naród. Jak napisała któraś z gazet, okazało się, że *peuple gaulois* ma tylko jeden czynnik jednoczący go wokół potencjalnego celu – piłkę.

Nawiasem: korespondenci z Włoch podobnie podkreślali, że przynajmniej raz, z okazji Mundialu, uczucie narodowe przeważyło tam nad silną tożsamością regionalną.

Władze francuskie oczywiście wykorzystywały atmosferę i podbijały bębenka. Prezydent Chirac przyjeżdżał na podstawowe mecze, a po wszystkim zaprosił drużynę na śniadanie do Pałacu Elizejskiego. W dniu finału na gmachu Zgromadzenia Narodowego wywieszono ogromną flagę narodową i transparent *Allez la France*, nawiązujący do wszędzie rozbrzmiewającego hasła *Allez les bleus* (*bleus*, niebiescy, to własna drużyna). W Paryżu pojawiły się plakaty *Paris aime les bleus* (zamiast czasownika *aimer* widniało czerwone serduszko). *Les bleus* byli zresztą w większości czarni, a kostiumy nosili białe – bowiem przy czarnym to ładniej i bardziej wyraziście.

Liczył się tylko sukces. Gdy ten ostatni mecz Francuzi przegrali z Włochami, gigantyczne tłumy zgromadzone na Champs Elysées spuściły nosy na kwintę, odpaliły trochę już do niczego niepotrzebnych petard i rozeszły się. Nawet jeśli, jak zauważono, na dzisiejszy sport można patrzeć jako na swego rodzaju światowe esperanto, to jest w nim też jakiś gigantyczny ładunek nacjonalizmu. To „my" mamy zwyciężyć i tylko to się liczy. Namiętności Mundialu czy innych igrzysk stają się narodowym substytutem globalizacji. Skądinąd oczywiście lepiej, ażeby kraje realizowały swoje ambicje dzięki bieganiu po trawie paru facetów niż działaniom wojskowym.

Nawiasem: Niemcy w Niemczech też dziko machali swoimi flagami. Francuska telewizja komentowała, że przez lata Niemcy byli jakby zażenowani przy pokazywaniu swojej flagi, choć ona

oczywiście nie ma nic wspólnego z hitleryzmem. Teraz już nie są zażenowani. Prezydent RFN powiedział nawet w tych dniach, że cieszy się, iż nie jest jedynym, który wywiesza niemiecką flagę (na samochodzie).

Ten tłum wyładowywał tkwiącą chyba u każdego potrzebę komunii duchowej z innymi ludźmi. Zainteresowanie przebiegiem meczu można było doskonale zaspokoić, wygodnie siedząc w domu przed telewizorem. Ludzie jednak chcieli wyjść na ulice, być z innymi, wręcz oglądać mecz wspólnie na stadionach, gdzie ustawiono wielkie ekrany.

Ten tłum cieszył się, że w dany wieczór przestawały obowiązywać pewne reguły. Wszędzie można było wrzeszczeć i można było chodzić środkiem Champs Elysées. Można było jeździć na dachu samochodu. Można było wysmarować się na twarzy narodowymi kolorami. Mnie kojarzyły się w tym momencie średniowieczne „święta głupców" i karnawał brazylijski.

Ten tłum wyładowywał też swoje frustracje, widać głębokie. Identyfikował się ze sportowcami, którzy wygrywali – choć własna zasługa każdej z osób z tłumu była w tym dokładnie żadna. Każdy przydawał sobie też znaczenia, gdy wrzeszczał *allez les bleus*. Jakaś dziewczyna wsiadła w wieczór meczu do wagonu metra i sama wrzeszczała na cały wagon *allez les bleus*. Mnóstwo ludzi, zwłaszcza młodych, owijało się we francuskie flagi. To była taka unia duchowa, która jednocześnie pozwalała każdemu czuć, że sam działa.

Manifestujący na ulicach tłum żądał jednomyślności. W gruncie rzeczy reprezentował jakiś straszny potencjał przymusu. Nieraz był chyba gotów wywrzeć przymus, aby wszyscy się cieszyli, gdy *les bleus* zwyciężali. Wobec kogoś, kto nie wrzeszczał *allez les bleus* lub nie skakał (nie tańczył) z radości, nieraz zwracał się z gestami „Ciesz się też!". Gdy szedłem ulicą bez widocznych oznak radości, od razu ktoś zamachał do mnie *allez les bleus*. Wyraziłem więc radość entuzjastycznym odmachnięciem ręką – bo taka ferajna potrafi być groźna.

Samochody, które ugrzęzły w tłumie, zatrzymywano, kołysano, walono rękami po maskach – a jedyną wyjściem dla kierowcy było włączenie się w ten cyrk, klaksonowanie w odpowiednim rytmie, czy też podzielenie radości w jakikolwiek inny sposób.

Dobrze jest przeżywać radość. Cóż ja jednak poradzę, że przypomniał mi się film *Kabaret*[10] – o narastaniu faszyzmu w Niemczech – gdzie w jednej ze scen młody człowiek śpiewał w knajpie hitlerowską piosenkę, stopniowo doprowadzając do podjęcia jej przez wszystkich.

* * *

Nieraz w dziejach ludzie usiłowali przeciwdziałać procesowi atomizacji społecznej świadomymi działaniami. Rewolucja Francuska podniosła nie tylko hasła wolności i równości, ale także braterstwa. Rewolucjoniści mieli zwracać się do siebie *per* „ty", żeby potwierdzić swoją bliskość. Pytanie oczywiście, jak daleko owo braterstwo miało sięgać. Podobnie jak w USA, równość nie oznaczała przecież we Francji od razu równości niewolników. Francuskie statki, wożące afrykańskich niewolników nosiły nazwy „Liberté", „Egalité" i „Fraternité"[11]. Wrogowie rewolucji, bądź uznani za takich przez frakcję dominującą, nie mogli być braćmi niejako z natury rzeczy. Dla nich była gilotyna – o tyle pozostająca w linii rewolucji, że stanowiąca owoc rozumu oraz przekonania o równości ludzi w tym sensie, że likwidująca zróżnicowanie sposobu wykonywania kary śmierci w zależności od przynależności stanowej skazanego.

Dążenie do braterstwa, stowarzyszone z dążeniem do stworzenia przez rewolucję nowego świata *coute que coute*, jest dobrze oddane w powiedzonku odnoszonym do rewolucji francuskiej, a użytym na tytuł tego artykułu („Zostań moim bratem, a jak nie, to cię zabiję!").

* * *

Faszyzm silnie reprezentował dążenie dezindywidualizacyjne. Erich Fromm użył terminu „ucieczka od wolności"[12]. Czło-

---

[10] W reżyserii Boba Fosse, 1972.

[11] Zwrócił mi na to uwagę socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Stanisław Ossowski (1897–1963) w ostatniej rozmowie, jaką dane mi było z nim odbyć.

[12] Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, tłum. Olga i Andrzej Ziemilscy, przedmowa Edmund Wnuk-Lipiński, Czytelnik 2008 (w początkowych polskich wydaniach autorem przedmowy był Franciszek Ryszka).

wiek znów miał być objęty pierwotną gromadą współbraci, zdefiniowanych jako swoi. Miał być zjednoczony z innymi przez osobę Führera, człowieka rzekomo na tyle dobrego, że nawet płochliwe sarenki pokazywane na zdjęciach nie bały się go – ale zarazem walczącego o sprawy narodu i dającego temu narodowi opiekę. Człowiek miał być objęty przez strukturę partii i państwa oraz nakierowany na realizację postawionych przez wodza celów. Ludzie mieli jednoczyć się w nienawiści do obcych, a w tym do ludzi naznaczonych jako obcy nawet we własnym społeczeństwie. Mieli się zjednoczyć w wyidealizowanej wspólnocie narodowej, rasowej, ideowej oraz w zbrodni. Ten proces jednoczenia ludzi w hitleryzmie znakomicie pokazywał wspomniany już wyżej film *Kabaret*. Wiadomo, co z tego wszystkiego wyniknęło.

* * *

Komunizm podobnie cofał dziejową ewolucję społeczeństwa w kierunku indywidualizacji ludzi. Różnica z faszyzmem była chyba jednak taka, że to nie była „ucieczka od wolności" ludzi współtworzących zmodernizowane społeczeństwo i chcących zjednoczenia w miejsce indywidualizacji. O ile tendencje komunistyczne na Zachodzie można – wśród różnych czynników – tłumaczyć reakcją na stanięcie ludzi samych wobec trudności zmodernizowanego życia, przy zachowaniu relatywnie dużego stopnia ich indywidualności, o tyle w czołowych krajach komunizmu mechanizm był inny. W wypadku komunizmu to dążenie pojawiło się w krajach, które właśnie były słabo zmodernizowane – w Rosji i w Chinach. Były to zarazem kraje, których tradycyjne struktury zostały już naruszone. Nadto autorami koncepcji byli tam najczęściej ludzie sami wywodzący się już z sektora nowoczesnego, którzy chcieli zorganizowania ludzi właśnie w imię modernizacji. Dążenie do komunizmu było więc wyrazem dążenia do modernizacji społeczeństwa bez właściwych jej cech negatywnych. Ponieważ owe negatywy są jednak najpewniej immanentnymi cechami tego zjawiska (co najwyżej można starać się je ograniczać!), cel wysunięty przez wczesne elity komunizujące w Rosji i w Chinach był tym bardziej utopijny. Co z tego wszystkiego wyniknęło – wiadomo. Warto wszakże bliżej przyjrzeć się, jak

komunizm z jednej strony budował, a z drugiej strony niszczył braterstwo ludzi.

* * *

Komunizm rósł wraz z ideą walki i nigdy jej nie odrzucił. W 1923 r. na przystani na Wyspach Sołowieckich widniało ponoć hasło: „Żelazną dłonią zagnamy ludzkość ku szczęściu”[13]. Później, zwłaszcza w niektórych krajach, Wysp Sołowieckich i podobnych było już mniej, ale idea pozostała.

W ramach walki komunizm budował jedność tych, którzy sytuowali się po stronie z jego punktu widzenia właściwej. Na każdej komunistycznej gazecie było wydrukowane zdanie z *Manifestu Komunistycznego*: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. Jako młodzi ludzie śpiewaliśmy przy różnych oficjalnych okazjach pieśń masową:

Naprzód, młodzieży świata,
nas braterski połączył dziś marsz.
Groźne przeminą lata
hej, kto młody,
pójdź z nami i walcz!
Na lądzie i na wodzie,
na wschodzie, na zachodzie,
w marszu po szczęście, pokój i radość
zgodnie nasz dźwięczy krok.
Nie zna granic ni kordonów pieśni zew,
pieśni zew, pieśni zew.
Więc śpiewamy, nie zamilknie wolny śpiew,
wolny śpiew, wolny śpiew!
Przez cały świat słowa pieśni tej niech niesie wiatr!
Nie zamilknie, nie ucichnie wolny śpiew,
wolny śpiew, wolny śpiew!
Znamy warkot granatów,
w ogniu walki byliśmy nie raz,
przelanej krwi szkarłatem
w bitwie sojusz pisaliśmy nasz.

---

[13] Nina Mole Bielutin, *Wiek XX widziany z Moskwy. Niech jednak będzie pochwalony!*, tłum. Walentyna Mikołajczyk-Trzcińska, Adam Marszałek, Toruń [2005], s. 87.

Każdy, kto wolność kocha,
niechaj zasili pochód!
Szczęście narodów,
jutro świetlane –
to sprawa naszych rąk
[...][14]

Niezależnie od różnych aspektów treści tej pieśni, istotny dla prowadzonych rozważań był jej akcent wspólnotowy.

Obok propagandy także polowania na wskazanych wrogów i seanse nienawiści miały jednoczyć wszystkich właściwie myślących w postawie przeciw komuś. W Polsce dobrym dla rozpatrywania tej kwestii (smutnym!) przykładem takiego działania była dintojra 1968 r., skierowana przeciw Żydom oraz intelektualistom (oficjalnie przeciw „syjonistom" i „rewizjonistom"). Stałym mechanizmem jednoczenia ludzi w postawie przeciw komuś było kierowanie uwagi przeciw wybranym narodom – w wypadku Polski epoki PRL zwłaszcza oczywiście przeciw Niemcom z RFN (ci z NRD byli przedstawiani jako dobrzy z definicji). Jest prawdą, że Władysław Gomułka autentycznie bał się o polską granicę na zachodzie i obawiał się ewentualnego porozumienia pomiędzy ZSRR a RFN ponad głową Polski. Kładąc nacisk na zagrożenie ze strony RFN, realizował jednak także – mniejsza, czy świadomie – swoje cele w polityce wewnętrznej. Między innymi tym tłumaczyła się ostrość jego reakcji na list biskupów polskich do niemieckich z 1965 r. Tym tłumaczyła się również PRL-owska niechęć do oddawania hołdu tym Niemcom, którym Polacy powinni oddawać hołd. W pierwszym wydaniu pamiętnika Władysława Szpilmana postać niemieckiego oficera Wilma Hosenfelda, który w krytycznym momencie pomógł autorowi się ukrywać, przed-

[14] Pieśń, początkowo znana jako *Pieśń pokoju*, została przyjęta jako hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej (na jej kongresie założycielskim w Pradze w 1947 r.). Odtąd była powoływana jako *Hymn ŚFMD*. Autor oryginału rosyjskiego: Lew Oszanin, muzyka: Anatol Nowikow, tekst polski: Krzysztof Gruszczyński.

stawiono jako Austriaka[15]. U schyłku ustroju komunistycznego wielkie oburzenie władz wywoływało oddawanie hołdu Ottonowi Schimkowi, żołnierzowi, który poniósł śmierć w 1944 r., rozstrzelany (jak wiele wskazuje) za odmowę udziału w mordowaniu Polaków. Oczywiście mowy nie było o honorowaniu Helmutha von Moltke i Kręgu z Krzyżowej czy pastora Dietricha Bonhoeffera we Wrocławiu (o płk. von Stauffenbergu już nawet nie wspominając!).

Choć RFN była oczywiście szczególnie uprzywilejowana jako medium jednoczenia nas przez budzenie niechęci do innych, to inne kraje też bywały wygodne. Świadomie lub podświadomie wykorzystywano przy tym istniejące w Polsce negatywne stereotypy niejednego narodu. Przedstawiano Izrael jako państwo agresywne. Posłużono się nawet wizją „bratniej" Czechosłowacji jako rzekomo idącej na rękę Niemcom w 1968 r. W ogóle nominalna przyjaźń z „bratnimi" krajami była nieraz w praktyce uprawiana przy „puszczaniu oka" do ludzi, a na pewno bez ułatwiania kontaktów pomiędzy Polakami i obywatelami tych krajów. Zachód na ogół nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo „wspólnota socjalistyczna" była poprzedzielana granicami. Warto też wspomnieć, że Stolicę Apostolską nieraz przedstawiano jako antypolską, licząc na dyskredytowanie w ten sposób Kościoła katolickiego w Polsce. To zjawisko z czasem zmniejszyło się. Ostatecznie komunistyczny establishment parokrotnie zwracał się nawet do Kościoła o pomoc w trudnych momentach. Niemniej jednak np. wspomniany list biskupów polskich do niemieckich przedstawiano jako działanie sprzeczne z interesami narodowymi.

* * *

Narzędziem, które miało służyć jednoczeniu ludzi w komunizmie, było zachęcające przedstawianie celów działania ustroju (powszechna szczęśliwość, świetlana przyszłość). Także – rytuały jego działania, takie jak akademie z różnych okazji, pochody

---

[15] Władysław Szpilman, *Pianista. Warszawskie wspomnienia 1939–1945*, wstęp i opracowanie Andrzej Szpilman, fragmenty pamiętnika Wilm Hosenfeld, posłowie Wolf Biermann, Znak, Kraków 2000.

pierwszomajowe czy inne ceremonie parareligijne. Oczywiście jednoczyć miała osoba przywódcy, który pokazywał się jako na tyle dobry, że całował dzieci i zapraszał je na choinkę noworoczną (oczywiście nie bożonarodzeniową!). Nawiasem mówiąc, sam jeszcze zdążyłem być na takiej choince u Bieruta.

Przywódca był przedstawiany jako bliski ludziom pracy, senior gotowy nawet przyjmować listy ze skargami (byle nie zbiorowe!). W całym systemie nadzwyczajnie rozbudowano paternalistyczne mechanizmy kontaktu z obywatelami. Owe mechanizmy nieraz może nawet działały w sprawach mniej ważnych, ale nie zapobiegły ostatecznemu wyobcowaniu systemu. Jednocześnie, najpierw po to, by wzmocnić komunistyczne narzędzia integracji ludzi, a potem by je w ogromnym stopniu zastąpić, komunizm odwoływał się praktycznie przez cały czas do idei narodowej. W Polsce najpierw kładziono akcent na wyzwolenie narodu spod okupacji hitlerowskiej, także na uzyskanie (w ówczesnej terminologii „odzyskanie") Ziem Zachodnich i Północnych, czy też zapewnienie krajowi szerokiego dostępu do Bałtyku. Jako korzyść przedstawiano powojenną etniczną jednolitość kraju – uzyskaną najpierw na skutek hitlerowskiej zbrodni popełnionej przeciw Żydom, później dzięki powojennym zmianom granic i wielorakim przesiedleniom ludzi, a ostatecznie dzięki sprzyjaniu emigracji mniejszości narodowych przez władze komunistyczne. W sumie w tym punkcie myśl komunistyczna faktycznie nawiązywała do zadawnionej myśli polskich nacjonalistów, pożądających państwa Polaków i praktycznie tylko Polaków.

W kolejnych latach, za władzy Edwarda Gierka, przedstawiano Polskę jako jedną z czołowych potęg gospodarczych świata. Rzucono hasło budowy „drugiej Polski" (już po paru latach ludzie mówili: „Mieliśmy zbudować drugą Polskę, a zbudowaliśmy Trzeci Świat"). Podniesiono projekty inwestycyjne, których cel był chyba nie tylko modernizacyjny. Można odnieść wrażenie, że niektóre z nich miały cel podobnie socjotechniczny jak, powiedzmy, program budowy szosy transamazońskiej w Brazylii rządzonej przez generałów. Lansowany przez Gierka w 1978 r., gigantomański i nierealistyczny projekt regulacji Wisły miał zjednoczyć Polaków – rzecz jasna wokół projektodawcy. O przytoczonym przez jednego z autorów, jakoby rzuconym przez Gierka projek-

cie zbudowania na Antarktydzie polskiej wyspy z polską flagą, już prawie nie warto mówić. Miała ona zostać zbudowana z kamieni przywiezionych tam polskimi statkami i służyć jako baza dla polskich statków łowiących kryla[16].

Nie zaniedbywano pokazywania jednocześnie Polski jako rzekomej potęgi politycznej czy, po prostu, podbijania narodowego bębenka. Wysłano na orbitę polskiego kosmonautę, a Gierek usiłował nawet bezskutecznie załatwić z Leonidem Breżniewem, ażeby Polak poleciał przed Czechem. Nawet wybór polskiego papieża i jego przyjazd do Polski Gierek traktował chyba nie tylko jako kłopot, ale – naiwnie – jako czynnik, który mógł ewentualnie zbliżyć różne opcje w społeczeństwie polskim oraz, dzięki powszechnej dumie, umocnić legitymację władzy.

Za Gierka ukuto hasło „moralno-politycznej jedności narodu", PZPR była określana jako „Partia narodu"[17]. Na zgromadzeniach partyjnych skandowano „Partia – Polska, Polska – Partia". Ukuto też hasło „Program Partii programem narodu!" – co już parę lat później kontestatorzy znakomicie przerobili na hasło „Program Partii programem Partii!". Sam Gierek wspominał (może prawdziwie, któż to wie?), że był wnukiem powstańca z 1863 r.

Kosmonauta poleciał wprawdzie w kosmos na radzieckim statku, wyposażony m.in. w portret Breżniewa. Gierek udekorował Breżniewa najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym (!) i wprowadził zasadę przyjaźni z ZSRR do polskiej konstytucji. Liczono jednak najpewniej, iż naród uzna takie posunięcia za ceny konieczne wybijania się na potęgę. Wysyłając kosmonautę w przestrzeń, pomyślano zresztą oczywiście o wyposażeniu go także w symbole polskie – m.in. w plakietkę z ziemią spod Grunwaldu, przypominającą polskie zwycięstwo nad żywiołem germańskim.

---

[16] Mieczysław F. Rakowski, *Dzienniki polityczne. 1979–1981*, Iskry [2004], s. 250.

[17] Słowo „partia" jest tu pisane z dużej litery zgodnie z kryteriami czasów, o których mowa. Tak pisane, było ono wówczas traktowane jako zastępcze określenie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a zarazem podkreślenie, iż w kraju jest i może być tylko jedna partia godna tego miana.

* * *

U schyłku ustroju gen. Jaruzelski przedstawiał wprowadzenie stanu wojennego (1981) jako posunięcie ratujące kraj przed anarchią, rozpadem, bratobójczą wojną oraz (co już było komunikowane ciszej) przed interwencją ZSRR. O samym gen. Jaruzelskim po wprowadzeniu stanu wojennego dowiedzieliśmy się, że jest pochodzenia szlacheckiego i wychowankiem gimnazjum prowadzonego przez księży oraz że młodość spędził wygnany na Syberię. W sumie dowiedzieliśmy się, że generał ma „modelowo" polski życiorys (którego jednak wpierw nie znaliśmy!). W dniu wprowadzenia stanu wojennego na gmachu Komitetu Centralnego partii komunistycznej flaga narodowa zawisła obok zawsze tam wiszącej flagi czerwonej. Wkrótce potem Kompanię Honorową Wojska Polskiego ubrano w rogatywki, czyli w tradycyjne polskie wojskowe nakrycie głowy, swego czasu wyeliminowane przez komunizm.

Bliskim wątkowi narodowemu, stałym działaniem komunizmu było podbijanie bębenka sportowego. Sportowcy z krajów komunistycznych mieli być podziwiani; szli zresztą zawsze na początku pochodów pierwszomajowych. Mieli odnosić sukcesy nie tylko dla wykorzystywania ich w polityce międzynarodowej, ale też, jak najbardziej, wewnętrznej.

Obok tych wielkich tematów, mających jednoczyć ludzi pod egidą komunizmu, uruchomiono szereg mechanizmów jednoczących, a przynajmniej przeciwstawiających się indywidualizmowi mniej lub bardziej na codzień. Wychowanie dzieci i młodzieży miało być kolektywistyczne, a nie zindywidualizowane. W Polsce niezbyt się to udało, ale takie były intencje (tu zresztą w ogóle szczęśliwie udało się mało z rzeczy przewidzianych w teorii!).

Zespoły badawcze w Polskiej Akademii Nauk miały kolektywnie pisać syntezy uprawianej tematyki (ale nie takie syntezy, do których same by dojrzały, co byłoby nawet chwalebne). Rolnicy mieli być uspołecznieni.

Mieszkaliśmy wszyscy w podobnych domach, mieliśmy podobne meble i ubrania, uczyliśmy się z tych samych książek. Symbolem socjalistycznej atomizacji była sytuacja w wielkich blokowiskach, gdzie najczęściej żyło się wśród masy ludzi – a jed-

nocześnie jak na pustyni. Czynnikami integrującymi w takich blokowiskach bywały dzieci i psy, wyprowadzane o podobnych porach na spacer, oraz kościoły powstające w okresie późniejszego komunizmu.

Żyjąc w ramach systemu komunistycznego, nie powinniśmy byli wyłaniać niezależnych autorytetów (nawet w nauce!) i długo nie powinniśmy byli mieć prywatnych samochodów, które są narzędziem indywidualizującym – nie mówiąc o tym, że są też instrumentem wolnościowym. Cenzura prawie do ostatnich chwil komunizmu działała bezśladowo – by nie dopuścić do ujawnienia, że ktoś może mieć inne zdanie niż rzekomo „wszyscy". Nie powinniśmy byli uprawiać akurat tej historii, która dla grupy jest szczególnie cenna jako ją integrująca.

Komunistyczne państwo było rozdawcą potencjalnych łask. W wielu sprawach życiowych istnieliśmy tylko jako kółeczka w mechanizmie zakładów pracy (uzyskanie mieszkania następowało często dzięki zakładowi pracy, a przynajmniej za jego poparciem; wyjazd na niedzielną wycieczkę realizowano zakładowym autokarem; bilety do teatrów często rozprowadzano w zakładzie pracy; nabycie dóbr rzadkich bywało łatwiejsze dzięki zakładowi; skierowanie na wczasy otrzymywało się przez zakład pracy, ewentualny przydział na samochód podobnie). Wręcz nasze dowody osobiste były stemplowane przez zakład pracy. Może było to lepsze niż trzymanie dowodów osobistych w szafie przewodniczącego kołchozu, jak działo się w wypadku kołchoźników w ZSRR, ale też stawało się wręcz symbolicznym znakiem powiązania człowieka z instytucją zatrudniającą.

Ludzie mieli być zjednoczeni w ramach państwa i ustroju – i tylko w tych ramach. Establishment robił wszystko, by nie jednoczono się na innych płaszczyznach. Przeciwdziałał powstawaniu nowych organizacji, a nad dopuszczonymi do działania rozciągał kuratelę. Często mniejsze organizacje o podobnym profilu jednoczył w większe, by nie dopuszczać jakiegokolwiek pluralizmu. Oczywiście brano pod kontrolę i w zasadniczych sprawach ubezwłasnowolniano związki zawodowe. Symbolem tych działań były idiotyczne, czapkowe organizacje, które teoretycznie miały wszystkich jednoczyć, a faktycznie nikomu i niczemu nie służyły

– takie jak (kolejno) Front Narodowy, Front Jedności Narodu i Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego.

„Masa ludzka" miała być zdezindywidualizowana i zatomizowana zarazem. Oczywiście już same trudności życia codziennego, z trudnościami zaopatrzenia na czele, potężnie atomizowały społeczeństwo – bowiem wielu widziało w wielu konkurentów do dóbr rzadkich. Co nie najmniej ważne, metodami policyjnymi usiłowano „zjednoczyć" ludzi, działając w kierunku neutralizacji osób zagrażających jedności w stylu pożądanym przez komunistów. UB/SB nieraz głęboko wchodziło w nasza prywatność, często sytuując się w pozycji chroniących nas przed złem i – to zwłaszcza w epoce Gierka – zapraszając nas na koniak do kawiarni (zamiast na przesłuchanie). Cenzor sytuował się jako przyjaciel pisarza, prawie życzliwy współautor. Znakomity obraz tej ojcowskiej opieki państwa komunistycznego przedstawili Bartek Konopka i Piotr Rosołowski w filmie *Królik po berlińsku* (2010). Ich obraz przedstawia rzeczywistość NRD, ale w mniejszym wyostrzeniu może odnosić się równie dobrze do PRL.

* * *

Jakie były rezultaty wcielania w życie tej całej, pobieżnie zreferowanej koncepcji oraz wszystkich okazjonalnych działań zmierzających w tym samym kierunku? Skutki wielu z nich trudno ocenić, gdyż badanie opinii publicznej w systemie niedemokratycznym jest bardzo trudne. Nie wykluczałbym jednak, że akurat budowanie strachu przed Niemcami mogło mieć skutki pozytywne z punktu widzenia władz. Znacznie trudniej zdać sobie sprawę z tego, co dało im rozpętanie kampanii antysemickiej w 1968 r. Gdy dziś przegląda się papiery PRL-owskiej policji politycznej, odnosi się wrażenie, że cały ten szowinizm był im w każdym razie wygodny dla jednoczenia szeroko rozumianego aparatu partii i państwa. Ten aparat mógł lepiej zracjonalizować sobie własne działania jako broniące Polski i Polaków niż jako prowadzące do socjalizmu (w ten w jakimś momencie nawet sami jego ludzie chyba przestali wierzyć). W każdym razie jeszcze w latach osiemdziesiątych wewnętrzne i tajne, a więc przeznaczane tylko dla siebie nawzajem, raporty o sytuacji politycznej w Polskiej Akademii